

Jacek Salij OP, spotkanie dla nauczycieli uczących w szkołach specjalnych

Co teologia katolicka mówi o śmierci i rzeczach ostatecznych?

1. Kto jest człowiekiem?

Pytania o sens śmierci oraz ostatecznego przeznaczenia człowieka podejmiemy, rzecz jasna, na fundamencie biblijnej prawdy, że człowiek jest jedynym na tej ziemi stworzeniem, którego Bóg stworzył na swój obraz i podobieństwo. *Katechizm Kościoła Katolickiego* w ogóle zaczyna się twierdzeniem, że człowieka Bóg stworzył „zamyśłem czystej dobroci, w sposób całkowicie wolny, by uczynić go uczestnikiem swego szczęśliwego życia”.

Na początku bardzo mocno podkreślmy tożsamość pojęcia „człowiek” z pojęciem „żywa istota należąca do gatunku *homo sapiens*”. Zatem wykluczamy samą nawet ideę oczekiwania na uzyskanie człowieczeństwa, jego stopniowego nabywania lub utraty. Stanowczo nie zgadzamy się na wyobrażanie sobie, że istnieje jakiś stan przedczłowieczy płodu ludzkiego albo że nie jest się w pełni człowiekiem, dopóki nie zacznie się używać rozumu. Podobnie odrzucamy wszelkie pomysły, jakoby głęboka demencja odbierała nam człowieczeństwo i czyniła z nas eks-ludzi.

Jednym słowem, zdecydowanie twierdzimy, że wszystkich nas Bóg stworzył na swój obraz, a zatem wszyscy jesteśmy obdarzeni ludzką godnością, którą należy uszanować niezależnie od poziomu inteligencji oraz niezależnie od takich lub innych niepełnosprawności. Pierwszą konsekwencją tego, że człowiek obdarzony jest aż taką godnością, jest prawo każdej istoty ludzkiej do życia. Musimy uznać jako coś oczywistego, że nikt z nas nie jest panem życia jakiegokolwiek (że powiem to językiem czysto rzeczowym) jednostki należącej

do naszego gatunku. Śmierć może nas spotkać w każdym momencie życia, niektórzy umierają nawet już w łonie matki, ale istoty ludzkiej nie wolno zabijać nawet na samym początku jej życia. Po prostu nigdy nie wolno jej zabijać.

Z tym większym naciskiem podkreślam tożsamość pojęcia „człowiek” z pojęciem „jednostki należącej do gatunku *homo sapiens*”, że wciąż trudno zapomnieć o tym, jak głośno protestowano przeciwko wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r., który orzekł niekonstytucyjność przepisu dopuszczającego aborcję eugeniczną. Niestety, tysiące polskich kobiet, które stanowczo domagały się prawa do abortowania dzieci, u których zdiagnozowano kalectwo lub ciężką chorobę, świadczy o tym, że mentalność eugeniczna wciąż jest w naszej społecznej świadomości głęboko zakorzeniona.

Zatem to tylko w swojej naiwności wyobrażaliśmy sobie, że w wyniku wymordowania w czasach Trzeciej Rzeszy tysiący ludzi, którzy byli pacjentami szpitali psychiatrycznych oraz zakładów opiekuńczych, tradycyjny ruch eugeniczny został radykalnie skompromitowany. Dziś prawie już nie zdajemy sobie sprawy z tego, że hitlerowcy realizowali – to prawda, że na swój brutalny sposób – wcześniejsze postulaty ruchu eugenicznego.

Toteż nigdy dość przypominania o tym, że ruch eugeniczny – zapoczątkowany wydaną w roku 1869 książką Francisa Galtona pt. „Dziedziczny geniusz” już na długo przed Hitlerem znalazł wielu zwolenników w środowiskach oświeconej inteligencji. Niesławna książka dwóch niemieckich profesorów, prawnika i psychiatry, pt. „Dopuszczalność niszczenia życia niegodnego życia”, ukazała się już w roku 1922.

Jeśli zaś chodzi o historię ruchu eugenicznego u nas w Polsce, przypomniała ją stosunkowo niedawno dr Magdalena Gawin¹. Wiele w niej świadectw pogardy, z jaką różni nasi promotorzy postępu wypowiedali się o

¹ Magdalena Gawin, *Rasa i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego*, Wydawnictwo Neriton – Instytut Historii PAN, Warszawa 2003 ss. 392.

tw. „małowartościowych jednostkach”, a mianowicie o ludziach z intelektualną niepełnosprawnością, psychicznie chorych, osobach niewidzących czy niesłyszących, chorych wenerycznie, a nawet o gruźlikach czy epileptykach.

Po pokonaniu Trzeciej Rzeszy oraz po powieszeniu kilku niemieckich organizatorów zabijania chorych i niedołącznych, ruch eugeniczny trochę przycichł. Jednak nie na długo. Oto przytoczona przez Magdalenę Gawin argumentacja na rzecz aborcji eugenicznej, przedstawiona w roku 1955 – a więc w zaledwie dziesięć lat po upadku Trzeciej Rzeszy – podczas konferencji organizowanej pod patronatem Ministerstwa Zdrowia: „Dość mnożenia debilów, epileptyków, idiotów, kretynów zaludniających nasze zakłady lecznicze i wychowawcze, dość milionowych obciążeń budżetu naszego państwa na utrzymanie tego niepożądanego szkodliwego przyrostu bezwartościowych jednostek, których już są tysiące”².

Dzisiaj zwolennicy rozwiązań eugenicznych już nie przyznawaliby się z taką otwartością do swojej pogardy wobec najslabszych. Nauczyli się lepiej maskować. Oni aborcje eugeniczną „uzasadniają” prawami kobiety albo zakłamanymi sofizmatami o zdrowiu reprodukcyjnym.

2. Śmierć dziecka upośledzonego to jest śmierć jednego z nas

Podzielam stanowisko Leszka Kołakowskiego, że do śmierci dziecka naznaczonego jakimś poważnym deficytem winniśmy podchodzić z powagą równą tej, z jaką reagujemy na śmierć każdego innego człowieka: „Możemy starać się dowieść, że ludzkość, która zaniecha tego sposobu rozumienia siebie i zgodzi się na czysto zoologiczną autointerpretację, nie będzie już ludzkością, jaką znamy, to znaczy w ogóle nie będzie ludzkością. Nie możemy udowodnić, że nie wolno zabijać niepełnosprawnych dzieci. Mamy jedynie powody uważać,

² M. Gawin, dz. cyt., s. 304.

że odrzucenie tego zakazu oznaczałoby wyrzeczenie się człowieczeństwa w znanym nam sensie, czyli oznaczałoby koniec ludzkiego świata”³.

Profesor Kołakowski wyraźnie zaznaczył, że swoje stanowisko wyraża z pozycji człowieka niewierzącego, jednak ufam, że wszystkich nas cieszy stanowczy ton jego wypowiedzi.

Tę część swojego wykładu zacznę od uwagi, że trzeba jakoś zrozumieć lęk przed urodzeniem dziecka poważnie chorego, a zwłaszcza naznaczonego upośledzeniem umysłowym. Rodzice, a zwłaszcza każda matka chciałaby urodzić dziecko zdrowe. Jest jednak coś nieludzkiego w tym, że kiedy urodzi się dziecko z jakimś poważnym upośledzeniem, przyjmowane jest ono jako wielkie nieszczęście.

Owszem, trudno dziwić się temu, że w pierwszym odruchu rodzice pytają: Dlaczego właśnie nam się takie dziecko urodziło? Jednak odpowiedzialni rodzice starają się ten egocentryczny odruch przezwyciężyć. Nieszczęściem nie jest dziecko, ale jego choroba, jego upośledzenie. Dziecko jest darem Bożym. Przypomnijmy tu słowa matki machabejskiej do swoich synów: „Nie ja was ukształtowałam w moim łonie. Członki każdego z was nie ja układałam. Stwórca świata dał wam tchnienie życia” (2 Mch 7,22).

Pytanie naprawdę ważne, jakie trzeba sobie wówczas postawić, brzmi następująco: Co mamy zrobić, aby przyjąć nasze dziecko nie jako dopust Boży, ale jako dar Boży? Bo dziecko, każde dziecko jest darem Bożym. Sam Bóg jest poręczycielem niewyobrażalnie wielkiego sensu, jaki ma życie każdego dziecka, każdego dziecka bez wyjątku, również dziecka z upośledzeniem umysłowym. Dziecku, każdemu dziecku, należy się miłość, a jego rodzicom należy się wsparcie w realizowaniu ich trudnego rodzicielstwa.

³ Leszek Kołakowski, *Zabijanie upośledzonych dzieci jako fundamentalny problem filozofii*, w: Tenże, *Niepewność epoki demokracji*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014 s. 120.

Dziecko z Downem, a również dziecko naznaczone upośledzeniem jeszcze głębszym, dziecko którym tak łatwo wzgardzić, jest szczególnie uprzywilejowanym świadkiem naszej ludzkiej godności. Bo kiedy rodzi się zwyczajne dziecko, to o tym, co najważniejsze, nieraz się nie pamięta – ludzie się cieszą, że się urodziło i że jest takie zdrowe, zgrabne, takie inteligentne itd. Natomiast w przypadku dziecka upośledzonego wszystko inne usuwa się w cień – czymś najważniejszym staje się to, że urodziło się ludzkie dziecko, że urodził się CZŁOWIEK!

Przypomnijmy jeszcze te niezwykle słowa Pana Jezusa: „Kto by przyjął jedno takie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje”. Te słowa odnoszą się do każdego dziecka, ale nie ma wątpliwości, że odnoszą się one najszczególniej do dziecka, które bywa odtrącane, nierozumiane, izolowane. „Kto by przyjął jedno takie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje”. A zarazem niezwykle ostro powiedział Pan Jezus, że gdyby ktoś skrzywdził jedno z tych dzieci, to lepiej żeby kamień młyński mu zawieszono u szyi i utopiono w morzu.

Każde dziecko upośledzone jest żywym świadkiem tej prawdy, że naszego człowieczeństwa nie stanowią osiągnięte sukcesy, ani poziom inteligencji, ani nabyte umiejętności. Największa wartość człowieka polega na tym, że jest on człowiekiem. A jeżeli człowiekiem – to znaczy kimś zasługującym na to, żeby go kochać. Co więcej, zdolnym do tego, żeby innych obdarzać miłością.

Ludzi, którzy z tym problemem zetknęli się tylko z daleka, trzeba może przekonywać, jak autentycznie dzieci czy dorośli z upośledzeniem umysłowym potrafią kochać. Rodzice tych dzieci, którzy je naprawdę kochają, mogliby nam długo opowiadać o tym, ile prawdziwej miłości jest w ich dziecku. Dzieci, które przyzwyczajaliśmy się protekcyjnie nazywać upośledzonymi, nieraz kochają o wiele głębiej, o wiele autentyczniej niż tak zwani „normalni”.

Toteż nigdy dość przypominania, że rodzice, którzy przyjęli i kochają swoje dotknięte umysłową niepełnosprawnością dziecko, wykonują wielką pracę duchową na rzecz ludzkiej godności nas wszystkich. To dzięki nim na skalę społeczną coraz więcej rozumiemy to, o czym już mówiłem: że nigdy nie jest nieszczęściem to, że urodziło nam się dziecko niepełnosprawne; nieszczęściem jest to, że dziecko, które nam się urodziło, jest niepełnosprawne. Jeśli to zrozumiemy, rzadziej będziemy je ranić komunikatami, jakoby takie dziecko było człowiekiem niepełnowartościowym, wybrakowanym.

Na szczęście, tysiące rodziców, dziadków, braci i siostr osób dotkniętych umysłową niepełnosprawnością świadczy o tym, że potrafią one kochać nie tylko podobnie jak my, tzw. ludzie normalni, ale nieraz o wiele głębiej niż my, czyściej, z większą bezinteresownością.

Również na wymiar religijny dzieci te bywają wrażliwe ponadprzeciętnie. Owszem, nasze mówienie o Bogu odbierają niekiedy tak, jakby to ich w ogóle nie interesowało. Ale może po prostu one wyczuwają, kiedy to nasze mówienie nie jest świadectwem wiary, tylko jakąś mową-trawą. Bo z kolei zarówno rodzice jak opiekunowie dzieci z intelektualnym upośledzeniem mówią o ich tajemniczej, szczególnej wręcz otwartości na kontakt z Bogiem.

Wypisałem sobie kiedyś poruszające świadectwo wychowawcy, który przez wiele lat mieszkał razem z upośledzonymi umysłowo: „Żyjąc z osobami upośledzonymi odkrywamy coraz bardziej, że ich serce stanowi tajemnicę, że są w nim zawarte skarby, których możemy się czasem domyślać, ale przekraczają one wszystko, co możemy na ten temat zrozumieć. Mamy tu do czynienia z tajemnicą, z sekretem w tych istotach zranionych, bezsilnych, w tych istotach, które pod wieloma względami wydają się bez znaczenia, gdy patrzymy na nie w kategoriach społecznych”⁴.

⁴ Dorota Szczerba, *Wielka cisza. Tajemnica adoracji*, Kraków 2000 s.80.

Okazuje się, że u takich osób umysł działa jakby inaczej niż u tzw. „normalnych” i zazwyczaj są one jakby bezbronne wobec miłości bożej. W tym sensie bezbronne, że z chwilą, kiedy taka osoba poczuje w sobie ten niezwykle fakt, że kocha ją sam Bóg, otwiera się na miłość Bożą niewyobrażalnie więcej niż my, tak zwani „normalni”. A przecież być przyjacielem Boga to jest największa godność, jakiej my, ludzie, możemy dostąpić.

Brak miejsca, żeby tu szczegółowo omawiać liczne wypowiedzi Jana Pawła II w obronie pełnego człowieczeństwa ludzi z intelektualną niepełnosprawnością. Tylko dla przykładu przywołam tu fragment jego listu do rodzin z roku 1994: „Człowiek – każdy człowiek – jest stworzony przez Boga *dla niego samego*. Odnosi się to do każdego człowieka, do wszystkich, również do tych, którzy przychodzą na świat z jakimś głębokim schorzeniem lub niedorozwojem. W osobową konstytucję każdego i wszystkich wpisana jest wola Boga, który chce, aby człowiek posiadał celowość jemu tylko właściwą. Bóg daje człowieka rodzinie i społeczeństwu. Rodzice, stając wobec nowej ludzkiej istoty, mają lub winni mieć pełną świadomość tego, że Bóg *chce* tego człowieka *dla niego samego*”.

Gdybyśmy jako społeczeństwo umieli większą życzliwością otaczać dzieci z umysłowym upośledzeniem oraz ich rodziców; gdybyśmy umieli więcej zauważać to, jak bardzo dzieci te potrafią odwzajemniać okazywaną im miłość – z pewnością mniej by było tego prostactwa i niedelikatności, jakich nieraz doświadczają te dzieci oraz ich rodzice. Kontrolując nasz własny stosunek do osób z intelektualną niepełnosprawnością, warto mieć w pamięci słowo Pana Jezusa, że „wielu pierwszych będzie ostatnimi, a ostatnich pierwszymi” (Mt 19,30).

Dotyczy to również osób najciężiej upośledzonych – tych, których w swojej pysze jesteśmy nieraz skłonni traktować jako żyjące roślinki i uważać ich życie za całkiem pozbawione sensu. Niezwykle pouczającą historię na ten temat

zapisala siostra Benigna. Chodzi o autentyczne wydarzenie, jakie miało miejsce w roku 1954 w Zalesinie, w zakładzie przeznaczonym dla głęboko upośledzonych dzieci. Warto może wiedzieć, że owa siostra Benigna to znana przedwojenna aktorka, Stanisława Umińska, której poświęcony jest ostatni rozdział książki Krystyny Kolińskiej pt. *Damy czarne i białe*.

Bohaterką wydarzenia była 15-letnia Stefka, dziewczynka szczególnie głęboko upośledzona, taka, co to „biega, krzyczy, nie rozumie co do niej mówią, do żadnego zajęcia się nie nadaje”. Na lekcjach religii siostry tolerowały ją z litości, gdyż było jasne, że niczego nie rozumie, a tylko przeszkadza: „oczy rozbiegane, nie słucha, nieustannie w ruchu, nie odpowiada, obecna a nieprzytomna”. Otóż tak się nieszczęśliwie zdarzyło, że Stefka uległa śmiertelnemu poparzeniu. Resztę niech nam opowie siostra Benigna:

Nie wiedząc co robić, by ulżyć jej cierpieniom, nachyliłam się do niej i cichutko zaczęłam nucić. Stefka przestała jęczeć, oczy jej nabrały wyrazu. Twarzą nie miała oparzonej, tylko ciało. Spogląda uważnie, a gdy mój śpiew ustaje, znowu jęczy. Śpiewam dalej, jakaś dojrzałość w jej spojrzeniu skłania mnie do zadania pytania: „Czy ty wierzysz w Boga?” – „Tak” – „kochasz Pana Jezusa?” – a „Tak” – „Czy masz grzechy?” – „Tak” – „Czy chcesz się spowiadać?” – „Tak.” – „No to dobrze” – mówię – to jutro, dziś jesteś zmęczona. Wyraźny wyraz zawodu, westchnienie, niepokój, spojrzenie błagalne. Patrzy jak człowiek normalny, żądający pomocy.

Czy doczeka jutra? Pielęgniarka mówi, że może umrzeć jeszcze tej nocy. Poszłam do księdza do parafii, z wahaniem przedstawiam sprawę, dziewczynka głęboko upośledzona umiera, wydaje się pragnąć spowiedzi, dotychczas znana jako typ wegetatywny, niezdolny do udziału w sakramentach świętych mimo

najusilniejszych starań. Ma lat 15. Ksiądz był, dziewczynka zmarła tej nocy. Ksiądz powiedział, że spowiadała się jak zupełnie normalny człowiek. Mogła przyjąć Komunię świętą i sakrament chorych”⁵.

Wydarzenie to wydaje bardzo ważnym komentarzem do naszych twierdzeń, że dziecko z umysłową niepełnosprawnością zapewne nie rozumie, co to jest komunia święta. Rzecz jasna, obowiązkiem kapłana jest nie dopuścić do nawet materialnego tylko znieważenia Sakramentu, kiedy wydaje się, że dziecko nie rozróżnia Chleba Bożego od zwyczajnego pokarmu. Ale z drugiej strony: Cóż my możemy wiedzieć o tym, co się dzieje w duszy takiego dziecka? Przecież nie jest wykluczone, że Pana Boga kocha ono więcej niż jego rodzice i niż ten ksiądz.

3. Co w Kościele katolickim wierzymy na temat śmierci?

Na koniec elementarne przypomnienie, co w Kościele katolickim wierzymy na temat śmierci. „Śmierci Bóg nie uczynił i nie cieszy się ze zguby żyjących. – czytamy w Ksiedze Mądrości – Śmierć weszła na świat przez zawiść diabła” (1,13; 2,24). Mówiąc krótko, odejście od Boga sprowadziło na nas przekleństwo śmierci. Zauważmy najpierw, że nie ma nic przeklętego w tym, że śmierci podlegają zarówno zające jak wilki. I nie byłoby nic przeklętego w śmierci człowieka, gdyby podlegały jej tylko nasze ciała. Niestety, śmierć, jakiej podlegają nasze ciała, jest konsekwencją i znakiem śmierci głębszej, jaką sprowadzili na siebie i na nas nasi prarodzice. Mianowicie zerwali oni przyjaźń z Bogiem, zwątpili w Jego względem siebie życzliwość. Przestało im zależeć na łączności z Tym, który daje życie, toteż padli ofiarą śmierci w najgłębszym słowa znaczeniu, śmierci wiecznej, która polega na rozdzieleniu człowieka od

⁵ S. Emanuela Dębowska, *Matka Wincenta Jadwiga Jaroszevska polska samarytanka i jej dzieło*, Michalineum 1990, rozdział pt. „I to się może zdarzyć”..

Boga. Zewnętrznym wyrazem tego tragicznego rozdzielania jest śmierć ciała, która przychodzi wskutek jego rozdzielania od duszy.

Katechizm Kościoła Katolickiego wielokrotnie posługuje się tradycyjną definicją śmierci: że jest ona rozdzieleniem duszy i ciała⁶. Pierwotny bezsens śmierci da się opisać mniej więcej następująco. Śmierć – rozłączenie duszy i ciała, które z natury są przecież jednością – jest skutkiem i znakiem odłączenia od Boga. Jest naocznym dowodem naszej zależności od szatana – bo gdzie bardziej widać, że pełny powrót do Boga przekracza możliwości grzesznika? Śmierć, tak jak ją opisuje Pismo Święte, ma więc strukturę symboliczną: to, co się dokonuje na płaszczyźnie biologii, ujawnia i przypieczętowanie śmierć duchową.

Warto jeszcze sobie uprzytomnić, że Bóg w swoim miłosierdziu stara się zarówno grzesznych prarodziców, jak nas wszystkich, osłonić przed skutkami tej katastrofy. Wystarczy przypomnieć, że już w opisie grzechu pierworodnego znajdziemy zarówno sygnały, że niemal bezpośrednio po grzechu Bóg opiekuje się pierwszymi grzesznikami (por. Rdz 3,21; Mdr 10,1), jak obietnicę Zbawiciela (por. Rdz 3, 15).

Ojcowie Kościoła wielokrotnie podkreślali ten moment, że nawet wobec grzesznika, który w Niego zwątpił i nie chce być Jego przyjacielem, Bóg jest miłosierny. Św. Jan Złotousty wyjaśniał na przykład, że nawet nasze obecne podleganie śmierci jest znakiem Bożego miłosierdzia wobec nas. Bo cóż by to było, gdyby nasze oderwanie od Boga nie spowodowało żadnych dotkliwych dla nas konsekwencji? Aż strach pomyśleć: Człowiek mógłby się wtedy przyzwyczaić do stanu nieprzyjaźni z Bogiem i już nie pragnąłby powrotu do utraconej bliskości ze swoim Stwórcą. „Takie są obyczaje naszego Pana, że zsyłając karę, okazuje nam nie mniejszą troskę, niż kiedy udziela dobra. Albowiem wymierza nam tę karę w celu upomnienia. Przecież gdyby wiedział,

⁶ Por. KKK 624, 626, 650, 1005, itd.

że bezkarność grzechu nie uczyni nas gorszymi, nigdy by nas więcej nie karał. Żeby jednak powstrzymać nasze staczanie się ku gorszemu i usunąć wzmagającą się przewrotność, trwa Bóg w swojej przyjaźni do człowieka i wymierza mu karę. (...) Kary wymierzane przez Boga pełne są wielorakiej dobroci”⁷

Pismo święte stwierdza to wielokrotnie, że śmiercią w całym słowa znaczeniu jest śmierć duchowa, a śmierć ciała jest „tylko” jej epifenomenem. Toteż właśnie z śmiercią duchową związane jest najgłębsze przekleństwo śmierci. Przypomnijmy tu straszną alternatywę, wobec której postawiona została biblijna Zuzanna: albo zgrzeszysz i zachowasz opinię kobiety uczciwej albo oskarżymy cię niesłusznie o cudzołóstwo i zostaniesz ukamienowana jako rozpustnica. Znamienne, że ona śmiercią nie nazywa morderstwa, na które niesprawiedliwie została skazana, tylko grzech, którego nie chce popełnić (Dn 13, 22). Tę samą optykę w rozumieniu śmierci widzieliśmy w przytoczonym już tu zapisie z Księgi Mądrości, znajduje się ona również w znanym upomnieniu z Apokalipsy: „masz imię, że żyjesz, a jesteś umarły” (Ap 3,1).

4. Czym była śmierć Jezusa Chrystusa?

Przekleństwo śmierci – dla tych wszystkich, którzy nie chcą mu podlegać – zostało zdjęte, a znaczenie ludzkiej śmierci zostało gruntownie przewartościowane, przez to, że śmierć zgodził się przyjąć na siebie Pan nasz Jezus Chrystus. On, Syn Boży, przyjął naszą ludzką naturę, stał się jednym z nas, ażeby nas wyzwolić z niewoli szatana, grzechu i śmierci, i żeby rozproszone dzieci Boże zgromadzić w jedno i pojednać ich ze swoim Ojcem. Swojego dzieła dokonał On przez przyjęcie na siebie całego przekleństwa śmierci i na pokonaniu szatana w miejscu jego największego zwycięstwa nad nami.

⁷ Św. Jan Chryzostom, *In Genesim* 3, hom.18,3 (PG 53,151n).

Przypatrzmy się zatem tajemnicy śmierci Chrystusa Pana. Zauważmy najpierw, że był On jedynym człowiekiem, który nie podlegał konieczności umierania. Jest on bowiem, również w swojej ludzkiej naturze, Synem Bożym, zatem kimś całościowo i nierozdzielnie złączonym z Przedwiecznym Ojcem. Zresztą pojęcie złączenia z Ojcem, Źródłem życia, zbyt słabo oddaje istotę Jego stosunku do Ojca. Raczej trzeba powiedzieć, że Syn Boży Jezus Chrystus jest „jedno z Ojcem” (por. J 10,30), toteż jest On jedynym człowiekiem, o którym można prawdziwie powiedzieć, że jest On „życiem i zmartwychwstaniem” (J 11,25), a zatem kimś niewyobrażalnie więcej niż osobą nierozdzielnie złączoną z Bogiem.

Nowy Testament wielokrotnie podkreśla, że Jezus nawet w swoim dobrowolnie przyjętym na siebie uniżeniu nie podlegał konieczności umierania. Śmierć przyjął On na siebie w pełnej dobrowolności, a umarł jako Ktoś suwerenny nie tylko wobec tej nienawiści, która doprowadziła do Jego ukrzyżowania, ale również wobec własnej śmierci. W przeciwieństwie do każdego z nas, Jezus nie podlegał konieczności śmierci: umarł nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że chciał oddać za nas swoje życie. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13).

To prawda, że Pan Jezus stał się ofiarą ludzkiej nienawiści, ale to w tym sensie, że suwerennym aktem swej woli zgodził się na to, aby wymierzona przeciwko Niemu zła wola ludzi osiągnęła zamierzony skutek. W żaden sposób nie był On zdeterminowany logiką wydarzeń (jak to jest z nami, zwykłymi ludźmi), ale w każdym momencie tych wydarzeń w pełni dobrowolnie poddawał się ich logice. W ten sposób z własnej woli stał się Ofiarą za nasze grzechy, a decyzję tę podjął w ścisłej jedności z wolą swojego Ojca: „Ja życie moje oddaję za owce. Mam moc je oddać i mam moc je znów odzyskać. Taki nakaz otrzymałem od mojego Ojca” (J 10,17n).

Ewangelisti wielokrotnie podkreślają całkowitą bezsilność ludzkiej nienawiści wobec Niego oraz Jego pełną suwerenność wobec wrogów. „Porwali Go z miejsca, wyrzucili Go z miasta i wyprowadzili aż na stok góry, na której ich miasto było zbudowane, aby Go strącić. On jednak przeszedłszy pośród nich oddalił się” (Łk 4,29n); „Zamierzali Go pojmać, jednakże nikt nie podniósł na Niego ręki, ponieważ godzina Jego jeszcze nie nadeszła” (J 7,30; por. 7,44; 8,59; 10,31; 10,39).

Śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu była przede wszystkim dziełem niepojętej, wprost szalonej miłości Boga do ludzi: „Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3,16). Jezus przyjął śmierć na krzyżu nie dlatego, że w końcu dopadły go te mechanizmy nienawiści, jakie przeciwko Niemu uruchomiono, tylko dlatego, że z całą dobrowolnością wyszedł naprzeciw swojej śmierci, żeby poddać się tym mechanizmom nienawiści.

Zbawiciel był zarazem jedynym człowiekiem, który zaznał na sobie całego przekleństwa śmierci. To był nie tylko potworny, dla nas niewyobrażalny, ból fizyczny. Św. Tomasz z Akwinu zwraca uwagę na to, że taki sam ból różni ludzie mogą odczuwać różnie, zależnie od poziomu wrażliwości. Należy zaś się domyślać, że wrażliwość Syna Bożego musiała być wyjątkowa, toteż fizyczny ból ukrzyżowania dla Chrystusa Pana był niewyobrażalnie bardziej bolesny niż ból odczuwany przez tych nieszczęśników, którzy przeszli przez analogiczne cierpienia⁸.

Chrystus Pan doświadczył ponadto całej potworności odrzucenia, szyderstwa, pogardy, poniżenia. To mało byłoby powiedzieć, że to wszystko spotkało Go niesprawiedliwie. Jemu tak potwornie zapłacono za Jego miłość. Wielu z tych, którzy uczestniczyli w Jego zabijaniu, bezpośrednio zaznało Jego dobrodziejstw: zapewne byli wśród nich tacy, których On uzdrowił, którzy byli

⁸ Por. *Summa Theologiae* 3 q.46 a.6.

świadkami Jego cudów, zachwycali się Jego nauką, jedli cudownie rozmnożony przez Niego chleb. Ważną częścią śmiertelnej męki Chrystusa Pana była gorycz doznawanej przez Niego niewdzięczności.

Przede wszystkim jednak przeszedł On przez niewyobrażalne dla nas ciemności wewnętrzne, z wnętrza których wyrwała się z Jego serca poruszająca skarga: "Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?" Owszem, musimy pamiętać, że jest to początek psalmu mesjańskiego, niemniej trudno mieć najmniejsze nawet wątpliwości co do tego, że skarga ta świadczy jednak o jakichś niepojętych ciemnościach, w których był On wówczas pogrążony. Możemy tylko się domyślać, że On – będący jedno ze swoim Ojcem – doznał wtedy (i nigdy nie zrozumiemy, na czym mogło to polegać) jakiegoś tajemniczego rozłączenia z Nim. Innymi słowy, On, Syn Boży, wszedł wtedy w sam środek śmierci przeklętej i doświadczył jej straszliwości, tak jak nie zaznał tego nawet największy bezbożnik, czyli ktoś naprawdę i ostatecznie odłączony od Boga.

I ludzie, i szatan zrobili wtedy naprawdę wszystko, żeby tego Człowieka oderwać od Jego Przedwiecznego Ojca, a przynajmniej żeby nadwątlić w Nim Jego miłość i zawierzenie Ojcu. On jednak nawet w tym huraganie zła, w jakim się znalazł na Kalwarii, nie przestał naprawdę całym sobą kochać swojego Ojca, w konsekwencji czego nawet wówczas Jego miłość do wszystkich ludzi, własnych morderców nie wyłączając, nie straciła nic ze swojej krystaliczności. Ten Człowiek nawet w samym środku śmierci, nawet doświadczając jakby oderwania od Ojca, był ze swoim Ojcem całym sobą złączony, i nawet z tamtego najbardziej przeklętego miejsca potrafił wołać: „Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego!”.

I to jest podstawowy sens Jego ofiary. Jeśli ofiarę zdefiniujemy jako miłość, realizowaną również wówczas, kiedy to trudne, a nawet kiedy to bardzo trudne i po ludzku niemożliwe, to Chrystus Pan złożył ofiarę jedyną i nie do

powtórzenia: On trwał i wytrwał w idealnie całościowej miłości do swojego Ojca nawet w miejscu krańcowo od Niego oddalonym, nawet przechodząc przez całe przekleństwo śmierci. Odtąd nie ma już takiego miejsca, w którym musielibyśmy być oddzieleni od Boga. Nawet śmierć nie musi już być naznaczona swoim pierwotnym przekleństwem, a nawet więcej: możliwa się dla nas stała śmierć w Chrystusie, śmierć błogosławiona, będąca znakiem naszego ostatecznego odłączenia od grzechu.

5. Nasza śmierć w Chrystusie

Chrystus Pan swoją śmiercią wszedł w miejsce największego oddalenia od Boga i okazało się wówczas, że jeśli się jest bez grzechu, to nawet tam można być prawdziwie złączonym z Bogiem, Źródłem życia. Stąd entuzjazm apostoła Pawła: „Gdzie jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień? Ościeniem zaś śmierci jest grzech” (1 Kor 15,55n).

Tu jednak pojawia się pytanie następujące: Chrystus Pan nawet na krzyżu był Synem Bożym, my jesteśmy zwykłymi ludźmi, On był bez grzechu, my jednak jesteśmy grzesznikami. Przecież nie potrafimy zachować się w śmierci tak jak On!

W ten sposób doszliśmy do podstawowego przesłania Nowego Testamentu na temat śmierci: Chrystus Pan, który zmartwychwstał, ma moc zwyciężać przekleństwo śmierci w każdym, kto Mu zawierzy samego siebie. Zaczyna zaś Zbawiciel od uderzenia w samo ognisko śmierci, w grzech, i w spowodowaną przez grzech śmierć duchową. Miejscem, w którym rozpoczyna się przestawienie znaków śmierci – zastąpienie śmierci przeklętej śmiercią błogosławioną – jest chrzest, który usuwa nasze rozłączenie z Bogiem i rozpoczyna w nas rozłączanie się od grzechu.

„Czyż nie wiadomo wam – mówi o tej radykalnej inwersji znaczenia śmierci apostoł Paweł – że my wszyscy, którzy otrzymaliśmy chrzest zanurzający w Chrystusa Jezusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć? Zatem

przez chrzest zanurzający nas w śmierć zostaliśmy razem z Nim pogrzebani po to, abyśmy i my wkroczyli w nowe życie. Jeżeli bowiem przez śmierć, podobną do Jego śmierci, zostaliśmy z Nim złączeni w jedno, to tak samo będziemy z Nim złączeni w jedno przez podobne zmartwychwstanie” (Rz 6,3-5).

Owszem, nasze ciała nadal są śmiertelne, jednak całe życie doczesne człowieka ochrzczonego może – i powinno – poprzez coraz to głębsze umieranie razem z Chrystusem dla grzechu przemienić się w drogę do życia wiecznego. Dopóki jesteśmy grzeszni, złowieszczy cień śmierci przeklętej nie został jeszcze od nas ostatecznie usunięty. Jeżeli jednak grzech nad nami nie panuje, jeżeli żyjemy w łasce uświęcającej, już teraz ogarnia nas błogosławione światło śmierci w Chrystusie, która polega na ostatecznym odłączeniu od grzechu, aby na zawsze być z Bogiem. Stąd w Nowym Testamencie tak często mówi się o śmierci w duchu nadziei, a nawet radości. „Wiemy – powiada apostoł Paweł – że jeśli nawet zniszczy nasz przybytek doczesnego zamieszkania, będziemy mieli mieszkanie od Boga, dom nie ręką uczyniony, lecz wiecznie trwałe w niebie” (2 Kor 5,1). Toteż „nie smućcie się, jak ci wszyscy, którzy nie mają nadziei” (1 Tes 4,13). Bo „jeżeli żyjemy, żyjemy dla Pana; jeżeli zaś umieramy, umieramy dla Pana. I w życiu więc, i w śmierci należymy do Pana” (Rz 14,8).

Ostatecznie śmierć zostanie pokonana w dniu zamknięcia dziejów. „Jako ostatni wróg zostanie pokonana śmierć” (1 Kor 15,26). Wówczas „ci, którzy pełnili dobre czyny, pójdą na zmartwychwstanie życia, ci zaś, którzy pełnili złe czyny – na zmartwychwstanie potępienia” (J 5,29). Następująco zaś „rzecz się ma ze zmartwychwstaniem: zasiewa się ciało zniszczalne – powstanie niezniszczalne; sieje się niechwalebne – powstaje chwalebne; sieje się słabe – powstaje mocne; zasiewa się ciało zmysłowe – powstaje ciało duchowe” (1 Kor 15,42-44).